

Na kolację ze Stalinem nie poszła. Ale futro z norek od niego przyjęła

Kiedy premier Józef Cyrankiewicz przejeżdżał koło Teatru Polskiego, zdejmował zawsze kapelusz z głowy. Z szacunku dla sceny i żony. Zawsze podkreślał, że to jest jego największy rywal. Wielka aktorka, NINA ANDRYCZ, zmarła tydzień temu. Miała 101 lat.

TEKST Jolanta Ciosek

Studowała prawo i historię. Nie ukończyła żadnego z tych kierunków. Dopiero w 1934 roku odebrała dyplom warszawskiego Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej.

W teatrze zadebiutowała 16 listopada 1934 roku. W latach 1934-1935 pracowała w Teatrze na Pohulance w Wilnie. W czasie II wojny światowej nie pracowała jako aktorka. Była wówczas kelnerką.

Zmarła 31 stycznia 2014 roku w wieku 101 lat. Pogrzeb odbędzie się 10 lutego.

Po raz pierwszy zobaczyłam Ninę Andrycz na scenie kilkanaście lat temu w „Krzyszłach” Ionego. Partnerował jej Ignacy Gogolewski. W spektaklu Macieja Prusa stworzyli wstrząsające kreacje, zagrali dwoje starców, którzy się nienawidzą, a jednocześnie nie mogą bez siebie żyć. Nina Andrycz przez całe artystyczne życie przywyczała widzów do ról królewskich – tym razem jej tronem było krzesło. Jakże pokrzywiona na nie wchodziła, jak pokracznie z niego zsiadała (bo nie schodziła). A za nią podążał równie pokrzywiony i zgarbiony Ignacy Gogolewski – On. On i Ona, dwoje bohaterów, którzy odegrali nam dramat życia, a właściwie tkwili w tym dramacie jak w życiu. Wydawało się, że są bardzo, bardzo starzy. A to nie była prawda – to była siła kreacji. Publiczność, która już czekała na artystów (mieli podpisywać swoje książki), przywitała panią Ninę gromkimi brawami i okrzykami. A ona, niczym królowa – matka machała ręką. Garderoba artystki była cała w kwiatkach, nawet pan Ignacy odstąpił jej swoje bukiety, by do zdjęć i przed kamerami było ich jak najwięcej. Bo Nina Andrycz uwielbiała blask fleszy, reflektorów, wywiady, spotkania, zainteresowanie jej osobą. Egocentryzm artystom jest wybaczony, bez niego zapewne byłiby ubożsi.

Następnego dnia umówiliśmy się podczas obiadu – „tylko coś lekkiego, droga pani, najlepiej pstrąga z rusztu, bo trzeba dbać o linię”. Spotkanie potrało do kolacji. Przerodziło się w jedno wielkie wspomnienie. Pani Nina była już damą leciwą, jednak pamięć jej dopisywała. Wyglądała znakomicie: na palcach piękna, rodowa biżuteria, na szyi perły włożone do koronkowej sukni, a na wyniosłe podniesionej głowie burza rudych włosów. Aktorka była pod wielkim wrażeniem niedawnego benefisu na jej cześć. – *Bogu dzięki, czas jest dla mnie łaskawy, nie zabrał mi sił i werwy do pracy. Benefis z okazji urodzin, który urządzono mi w Teatrze Polskim, był wspaniały. Oficjalny, huczny jubileusz: obchodziłam pięć lat temu.*

Zaproszono 200 osób, przyszło 450. Uroczystość prowadził Ignacy Gogolewski, a Krzysztof Kolberger czytał wiersze pani Niny. Ona sama mówiła o swojej karierze i wspominała wielkich aktorów, z którymi miała szczęście spotkać się w teatrze (Przybyłko-Potocka, Węgrzyna, Osterwę, Zelwerowicza). – *Nikt się nie wiercił, nie kaszlał, więc sądzę, że mówiłam interesująco – uśmiechała się. – Wystąpiłam w czarnej, koronkowej sukni przywiezionej z Madrytu, a niektóre panie zaglądały mi za uszy, żeby sprawdzić, gdzie są szwy po operacji plastycznej. Po raz kolejny udowadniałam, że nigdy niczego sobie nie naciągają.*

Karierę w Teatrze Polskim zaczynała za dyrekcji Arnolda Szyfmana. To był teatr wspaniałych artystów. Grała wielkie role u najlepszych reżyserów, o których dzisiaj można tylko pomarzyć. Zadebiutowała w 1935 roku ro-



Grała wielkie role. Na zdjęciu w roli Marii Stuart w Teatrze Polskim.

lą królewską. Zagrała Reganę, córkę szekspirowskiego Króla Leara w spektaklu wyreżyserowanym przez wielkiego Leona Schillera. Miała 23 lata (choć do ubiegłego roku utrzymywała, że 20), gdy po raz pierwszy założyła diadem na głowę. Potem były kolejne „dynastyczne” role: królowej Małgorzaty, Lady Makbet, Marii Stuart, Elżbiety I, ale także Izabeli Łęckiej i Dulskiej. Spektakle z jej udziałem prezentowano również poza granicami Polski, co tak wspominała: „Zagrałam w Londynie Elżbietę I Wielką, która w odróżnieniu od Elżbiety II nie nosiła przekomicznych kapeluszy, tylko koronę i była naprawdę wielkim władcą. Organizatorka występów powiedziała, że mamy komplet na widowni, bo Polacy błyskawicznie wykupili bilety. W ostatnim akcie, umierająca, spelzam z łóżka, na czworakach doczołgam się do tronu, na który weszłam resztką sił, wyprostowałam się jako władczyni Wielkiej Brytanii i oddałam ostat-

nie tchnienie jako panujący król Anglii. Wtedy Anglicy krzyknęli: „Wonderfull”. Po spektaklu wszyscy mnie pytali, czy mówię po angielsku. Odpowiadałam, że mówię po francusku i niemiecku, co Europejce powinno wystarczyć”.

Nina Andrycz zawsze podkreślała, że jej misją i pasją jest teatr, a nie rodzina. Jej słynne powiedzenie: „Moimi dziećmi są moje role, urodziłam ich dziesiątki” znają zapewne wielbiciele talentu artystki. Oprócz teatru interesowała ją poezja – debiutowała tomikiem „To teatr”, wydała także autobiografię: „My – rozdwojonej” i „Bez początku, bez końca”.

Pani Nina raczej strzegła swego życia prywatnego, uważając, że o sprawach osobistych rozmawia się w kawiarni z koleżanką, a nie z dziennikarzami. Trudno jednak nie przypomnieć, że była żoną komunistycznego premiera Józefa Cyrankiewicza, pierwszą damą PRL-u. Z mężem, najmłodszym wówczas

premierem w Europie zjechała niemal cały świat, spotykała się z komunistycznymi władcami, choć, jak podkreślała, na kolację ze Stalinem nie poszła. A jednak przyjęła od niego wytworny prezent – futro z norek. Twierdziła, że nigdy go nie założyła, a po czasie mole zajęły się tym prezentem.

Kiedy odwiedziłam aktorkę w jej warszawskim mieszkaniu, oprowadzała mnie po nim niczym po muzeum. – *Ten stolik przywiozłam z Chin, te kły słonia dostałam w Indiach, a te upominki w Cejlonie.* Oglądaliśmy, popijając czerwone wino, które otrzymała w prezencie od Marka Kondrata, czym nie omieszkała się pochwalić.

Trudno ocenić, jak bardzo w artystycznej drodze wykorzystywała pozycję premierowej. W filmie dokumentalnym „Maska i korona” sugerowano, że zlamana karierą młodej aktorki Danuty Urbanowicz, która przez Andryczównę musiała odejść z zawodu i popadła w chorobę. Z kolei ksiądz Kazimierz Orzechowski, w młodości aktor, który parokrotnie grał u boku artystki, podkreślał w naszej rozmowie pomocną dłoń premierowej w załatwianiu różnych spraw dla teatru. Andrycz o Urbanowicz nigdy nie chciała rozmawiać. Jedno wiadomo na pewno: jej scenicznymi rywalkami były Elżbieta Barszczewska i Irena Eichlerówna.

Talent i aktorstwo Niny Andrycz niewątpliwie błyszczały w minionej epoce. Współcześnie jej gra z patosem, słynne tylnojęzykowe „I” były coraz trudniejsze do zaakceptowania przez reżyserów i widzów. A jednak kiedy ponownie spotkałyśmy się w Krakowie, gdzie grała królową Elżbietę I w spektaklu „Królowa i Szekspir”, byłam świadkiem owacyjnego przyjęcia przez krakowską publiczność. – *Moja Elżbieta nie umiera w łóżku. Umiera stojąc, wczepiona w tron. Taka już jestem.*

Do końca miała apetyt na życie. – *Przeżyłam swoich narzeczonych, kochanków, lekarzy, przyjaciół, koleżanki. Męża też przeżyłam. Kocham życie, wywrócono mi, że dożyję 100 lub 101 lat – mówiła podczas naszego spotkania przed czterema laty. Przyjęła mnie jak zwykle elegancka, pachnąca dobrymi perfumami i mimo wieku mająca nienaganną figurę. Opowiadała o planach, o swoich książkach, powracała do swego małżeństwa. – „Kiedy mąż przejeżdżał koło mojego Teatru Polskiego, zdejmował kapelusz z głowy. Z szacunku dla tej sceny i dla mnie. Zawsze podkreślał, że to jest jego największy rywal”.*

Kiedy zapytałam, czy zmieniłaby coś w swoim życiu, gdyby miała możliwość przeżyć go „na nowo”, odpowiedziała bez wahania: – *Nigdy. Przeżyłabym je tak samo.*

Dziś po tych spotkaniach i rozmowach został mi tomik poezji z dedykacją aktorki. A widzom film Jacka Bławuta „Jeszcze nie wieczór”, w którym zagrała samą siebie.